



# Primum non nocere

(CHYBA ŽE PIJEMY RUM)

RUMBURAK JOKERMAN

## 25 października, 1943

---

W Kanzelpass po staremu: walki, nienawiść, przemoc, bezsensowna brutalność, ludzie zachowujący się jak zwierzęta. No i oprócz tego jest jeszcze wojna. Czasem mam wrażenie, że to ona jest tu najmniej absurdałna.

Udało nam się porozumieć z kilkoma dezertierami z winkulijskiego zrzutu. Oddział powiększył się o Selleya Botha, Selmę Hoover, Zaca Portera, Jensona „Haya” Hayesa i Quintina „Quinta” Nixona. Głównie mózgowce, techniczni, kombinatorzy, specjaliści od rzeczy, których nikt z nas wcześniej nie uważał za priorytet. Ale w Kanzelpass każda para rąk i każda sprawna głowa to kapitał na wagę złota.

Nie zdążyliśmy się nawet dobrze zapoznać, kiedy Związek Rad zaplanował kolejny zrzut w dolinie. Tym razem ze spadochroniarzami wylądowały też armaty. Widocznie nasze udane obrony nauczyły ich jednego: z nami nie opłaca się walczyć twarzą w twarz.

Moser obserwowała ich przez lornetkę, milczała kilka minut, po czym stwierdziła sucho:

- Nie chciał przyjść Oberhaupt do góry, to góra przyjdzie do Oberhaupta. Ruszamy.
- Od kiedy jesteś dowódcą? – zaprotestował Roth, czując jak grunt usuwa mu się spod nóg.
- Odkąd z Weissem nie wychodzicie z łóżek przez większość dnia – wtrąciła Tobiasse. – Ruszaj dupę, albo następnym raportem będzie twoja urwana głowa.

Roth nie zaprotestował ponownie. Wiedział, że panie Moser są groźne pojedynczo, a stojąc razem po tej samej stronie – wręcz niebezpieczne. My też woleliśmy atakować niż czekać, aż pociski zaczną spadać na nasze drewniane baraki.

Nigdy nie lubiłem się czołgać. A tego dnia musieliśmy się czołgać przez dobre dwieście metrów. Po minie Vogel widziałem, że będzie się przez tydzień szorować, jakby próbowała zetrzeć z siebie samą pamięć tej ziemi. Związkowcy nie spodziewali się nas. Gdy otworzyliśmy ogień, zaczęła się rzeź. Zanim zdążyli się przegrupować, większość już leżała. Kilku oddało chaotyczne strzały – Keller i Rolfine dostali rykoszetami – ale ogólnie był to pełny sukces.

Jedną ranną dziewczynę zabraliśmy do celi i opatrzyliśmy. Powinna była zginąć jak reszta, ale Moser się nad nią zlitowała. Nie wiem, czy dlatego, że była jeszcze nastolatką, czy dlatego, że nawet Klara zaczyna mieć ludzkie odruchy.



Hay, ten nowy, rozpoczął jakiś projekt z Mylene i Fuchsem. Drają tunel na południu Kanzelpass. Był przed wojną górnikiem i naprawdę zna się na robocie. Farmer i Andreas umieli kuć skały, ale Hay pokazał im takie sztuczki, że teraz pracują jak parowe wiertnice. Tylko za cholerę nie chcą powiedzieć, po co im ten tunel. Uciec nim nie uciekną. A może właśnie o to chodzi?

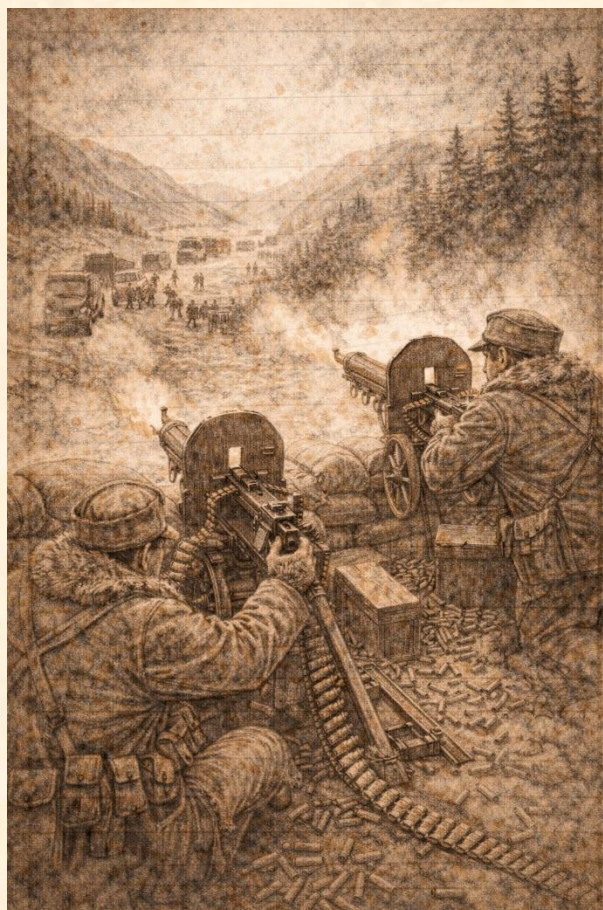
Wieczorem zawitali do nas Sarmaci. Tym razem bez zamiaru ataku. To był konwój zaopatrzeniowy. Najwyraźniej ktoś zapomniał im przekazać, że Kanzelpass nadal jest obsadzone przez nas. Zorientowali się za późno. Luca i Bonnet otworzyli ogień z ckm-ów. Niewielu zdążyło uciec.

Odgłos kanonady ściągnął Moser. Spojrzała na pobojowisko i zaklęła.

– Ale czemu pozwoliliście wozom uciec?! Tyle zapasów zwiąło nam sprzed nosa.

No tak. Zapomniałem, że nasza specjalistka od aprowizacji patrzy na pole bitwy jak na ruchomy magazyn. Pragmatyzm. Na wojnie bardziej przydatny niż ideały.

Nasz *Liebesschiff* rozwija żagle coraz szerzej. Quint i Selma są parą. A może byli nią już wcześniej i po prostu przestali się kryć. Przecież nie będziemy od każdego jeńca wymagać spisania pełnej biografii, zanim pozwolimy mu egzystować z nami.



## 27 października, 1943

---

Ostatnie dwa dni były takie... zawieszane. Niby spokojne, niby bez walk, bez ostrzału, bez alarmowych trąbek. A jednak coś się psuło. Psychika zaczęła siadać niektórym. Falk chodził jak cień, Fuchs reagował agresją na byle słowo, Keller milczał całymi godzinami, Sela patrzyła w przestrzeń jakby widziała coś, czego my nie widzimy. A na koniec Luca, który postanowił udowodnić światu, że jest twardszy niż jeńcy. Rzucił się na nich. Sam. Chyba nie przewidział, że staną przeciwko niemu wszyscy naraz. Skończył w lazarecie, z rozbitą twarzą i urażoną dumą.

Piszę ten wpis... po pogrzebie.

Pierwszym pogrzebie w Kanzelpass odkąd tu jestem. Może wcześniej jakieś były. Ale ten był pierwszy, na którym byłem.

Siedzę przy świeżo zasypnym grobie. Wokół cisza. Tylko wiatr i deszcz. I oddech Vogel opartej o moje ramię.

– Nie chcę teraz siedzieć sama. Pić z resztą też nie chcę – powiedziała, kiedy przyszła. Chyba widziała protest w moich oczach, bo dodała:

– Pisz sobie spokojnie. Nie będę się odzywać.

I tak siedzimy. Ja z tym moim śmiesznym pamiętnikiem. Ona oparta o mnie, wpatrzona w grób. W grób Weissa.



Byliśmy po śniadaniu. Weiss, jak zwykle, wyszedł na swój spacer w okolice posterunku. Selma miała wartę na zachodzie.

– Matko, Weiss! – ryknęła nagle.

Widzieliśmy, jak Otto osuwa się na ziemię. Tak po prostu. Bez ostrzeżenia. Bez dramatu. Bez krzyku. Zbiegliśmy się wszyscy... i wtedy zobaczyliśmy ich. Lumeria. Podeszli nas. Weiss dostał kulę od snajpera.

Jeszcze nigdy nie ruszyliśmy do ataku z takim zapałem. Patrzyłem na Rolfine. Myślałem, że rzuci się na nich gołymi rękami. Wszyscy strzelali jak oszalali. No dobra, prawie wszyscy. Vogel

podbiegła do Weissa i osunęła się na kolana. Nie musiała nic mówić. Wiedziała od razu. Dla Weissa wojna się skończyła. Skończyło się też życie.

Nie braliśmy jeńców. Chyba nawet *Frau Blau* nie zaprotestowała. Po prostu wyrznęliśmy wszystkich. Bez dyskusji. Bez litości. Do tej pory przypominam sobie



widok Moser dobijającej rannych. To nie były *coup de grace*. To było pastwienie się nad ciałami.

Wieczorem urządziliśmy pogrzeb. Bez przemówień. Bez sztandarów. Bez regulaminowych frazesów. Stanęliśmy nad płytkim grobem i trwaliliśmy w milczeniu kilka minut, czekając jakby Weiss miał zaraz wydać komendę „rozejść się”. Deszcz padał równo, ziemia zamieniała się w błoto.

Vogel stała obok mnie. W tym deszczu jej włosy pachniały jeszcze intensywniej niż zwykle. Przypominam sobie uparcie, że nie jest w moim typie.

Rolfine nie wytrzymała. Uciekła z płaczem. Zamknęła się w spiżarni i zaczęła się objadać. Reszta poszła pić ku pamięci Weissa. Może był poczciwym tatuśkiem, który nie do końca ogarniał, co się dzieje, ale był naszym tatuśkiem. Kimś, kto przynajmniej udawał, że to wszystko ma ręce i nogi.

A teraz siedzę... siedzimy tutaj z Vogel.

Objąłem ją ramieniem. Wcisnęła się mocniej we mnie.

Może jednak jest w moim typie.

28 października, 1943

---

Roth chyba najłagodniej przeżył śmierć Weissa. Albo przynajmniej najlepiej ją wykorzystał. Od rana chodzi napuszony jak paw, z miną człowieka, który właśnie awansował nie tylko w strukturze wojskowej, ale i w hierarchii świata. Na popołudnie zarządził własny ślub z Morath. I nagle regulamin przestał być przeszkodą. Paragrafy, zgody, podpisy przełożonych – wszystko wyparowało jak poranna mgła nad kanionem.



Gdyby nie to, że Alissa jest w porządku, to chyba bym mu wygarnął.

Ale ona przynajmniej nie udaje, że to jakiś akt strategicznego planowania. Po prostu chce być z nim. W tych warunkach to chyba jedyne, co da się jeszcze wybrać.

Najgorsze jest jednak to, że teraz Roth nami rządzi. To jedyny oficer w Kanzelpass. No dobrze – jedyny oficer z Edelweiss. I to wystarcza, by uznał się za centrum wszechświata. Już zaczyna wydawać rozkazy tonem, który jeszcze tydzień temu sam by wyśmiał.

– Moser, nie dasz rady podwędzić jakiegoś pułkownika z innej jednostki? – rzuciłem przy kolacji, pół żartem, pół serio.

– Zobaczą, co się da zrobić – odpowiedziała całkiem poważnie.

I to mnie zaniepokoiło bardziej niż sama perspektywa rządów Rotha. Bo jeśli Klara któregoś dnia przytaszczy tu generała w worku po ziemniakach, to będę

współodpowiedzialny za porwanie. A znając ją – to wcale nie jest najbardziej absurdalny scenariusz, jaki mógłby się tu wydarzyć.

## 31 października 1943

---

Już wiem, po co Hay i reszta tej kopiącej sekty drążyli tunel. Nie chodziło o ewakuację, nie chodziło o magazyn broni, nie chodziło nawet o jakąś genialną pułapkę na wroga. Oni zaczęli tam urządzać sypialnie. Pod ziemią. W skale. Z oddzielonymi wnękami. Zapachniało luksusem.

Dopóki Roth się o tym nie dowiedział.

– Zgodnie z regulaminem, to jako dowódcy, sypialnia przysługuje mi jako pierwszemu! – oznajmił z miną człowieka, który właśnie odkrył koło.

Jak zaczniemy do siebie strzelać, to pierwsza kula też jemu będzie przysługiwać. Zgodnie z regulaminem, oczywiście.

Tymczasem dołączyła do nas Orina. Jedyna, która przeżyła tamten atak Związku Rad. Moser ją wtedy oszczędziła. Teraz jest z nami. Patrzy uważnie. Mało mówi. Uczy się szybko. Jak wszyscy, którzy zrozumieli, że tu nie ma miejsca na sentyment.

Jestem stary. Właśnie minęły moje trzydzieste urodziny.

Dorwałem jakieś winkulijskie wino ze spiżarni i wieczorem urządziłem zwyczajną posiadówkę. Bez fanfar. Bez tortu. Bez świeczek. Siedzieliśmy do północy. Znaczą się – inni wyszli o północy. Ja zostałem. Sam z myślami.

O tym, jak marnuję się tutaj zamiast podbijać świat. Oczywiście w sensie zawodowym. Jako lekarz. W czystej klinice, w porządnym gabinecie, z eleganckim szyldem na drzwiach. A nie jako polowy rzeźnik zszywający rany postrzałowe i ugryzienia niedźwiedzi.

Myślałem o Weissie. O tym, jak śmiesznie wyglądałby w swoim nowym łóżu, gdyby jeszcze żył.

Myślałem o... znowu się na tym przyłapałem... o Vogel.

Nie przyszła. Myślałem, że dołączy do mnie. Ale nie. Poszła razem z innymi. Siedziałem sam z butelką tego kwaśnego winkulijskiego sikacza i zastanawiałem się, w którym momencie moje życie skręciło w tę stronę.

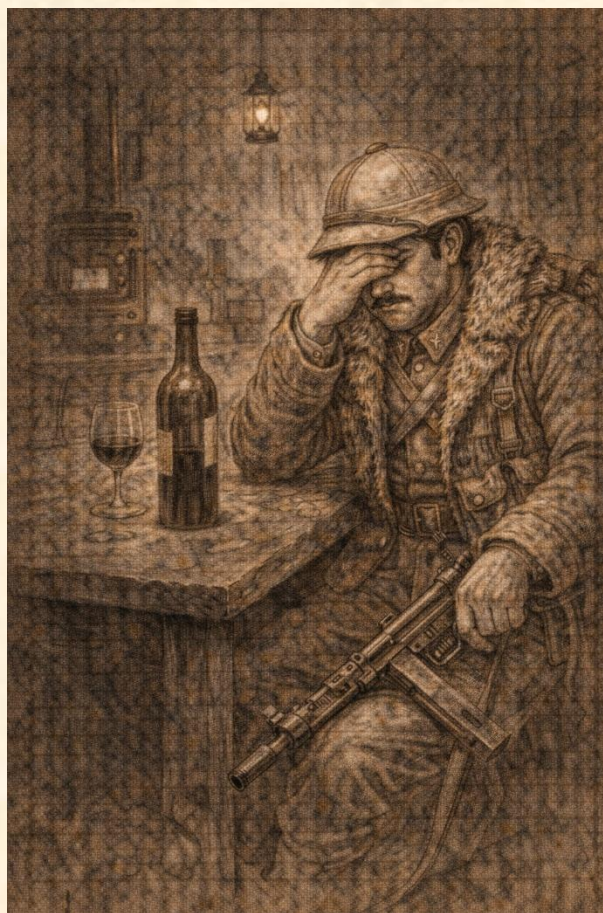
Dzisiaj mija sześćdziesiąt dni odkąd się tutaj pojawiłem. Dwa miesiące. W normalnym świecie piłbym piwo za piwem na Oktoberfest. Podrywał pielęgniarki w klinice. Narzekał na nadgodziny i ceny mieszkań.

Tutaj... no jest Vogel.

Ale ona jest... specyficzna. Niebieskie włosy. Mania czystości. Jakbym ją pocałował, to pewnie przez godzinę myłaby zęby. I swoje, i moje. I trzech najbliższych przebywających osób. Tak profilaktycznie.

Im dłużej tu siedzimy, tym bardziej nam odbija.

Dzisiaj Selma przyłożyła Rothowi. Wybrał złą osobę do recytowania regulaminu.



– Picie wina do obiadu? To nie Voxland. Regulamin mówi jasno, że alkohol jest dozwolony poza służbą!

Selma nie odpowiedziała. Po prostu wstała. I walnęła go butelką. Solidnie.

Ma pęknięcie czaszki. A my jedną butelkę wina mniej.



## 3 listopada 1943

---

Dwa dni temu wparowało do nas stado wściekłych niedźwiedzi. Jakby wojna nie wystarczała, natura postanowiła przypomnieć, że też chce się pobawić. Poradziliśmy sobie bez większych strat. Strzelanie do zwierząt jest prostsze niż do ludzi. Nie strzelają w odpowiedzi, nie krzyczą o matkach i ojczyznach. Problem w tym, że na mięso się nie nadają. Scaria zrobiła z nich chodzące ogniska rozkładu. Gnili od środka. Nawet Moser nie próbowała nic z tego „załatwić”.

Quint rozstał się z Selmą. Oświadczył się jej, a ona wyśmiała pierścionek zrobiony w kuźni ze złomu.

– Nie wiedziałem, że jesteś taką materialistką! – obruszył się.

– Cóż... żyjemy w materialnym świecie, a ja jestem materialną dziewczyną – odpowiedziała z tą swoją suchą ironią.

I tak zakończył się ich krótki związek. Na całe... dwa dni.

Dzisiaj Roth wypadł z łaźni z miną człowieka, który właśnie odkrył herezję.

– TO JEST WBREW REGULAMINOWI! JAK NAPRAWIMY RADIO, ZGŁOSZĘ TO W RAPORCIE! – wrzeszczał, czerwony na twarzy.

Chwilę później z łaźni wyszli Selma i Quint. Potargani. Spoceni. Wyraźnie pogodzeni. Selma miała na palcu nowy pierścionek. Ładny. Srebrny. Quint wyglądał na człowieka, który właśnie zrozumiał, że złom nie jest romantyczny.

A że jeszcze niedawno przeszkadzał mu materializm? Cóż. Ideały to piękna rzecz. Tylko siódma góra i siódma rzeka są cholernie daleko, a jubiler (znaczy się Moser) bliżej.

Rolfine też szybko opłakała Weissa. Teraz mizdrzy się z Hayem. I nawet się z tym nie kryje. Patrzę na to z mieszanką rozbawienia i niepokoju. Nie chcę być złośliwy, ale zdążyła się już przyzwyczaić do tracenia mężów.

– Ja bym wykopała sobie grób, tak na przyszłość – powiedziała mu Selma przy obiedzie. – Albo przynajmniej zmieniła kucharza.

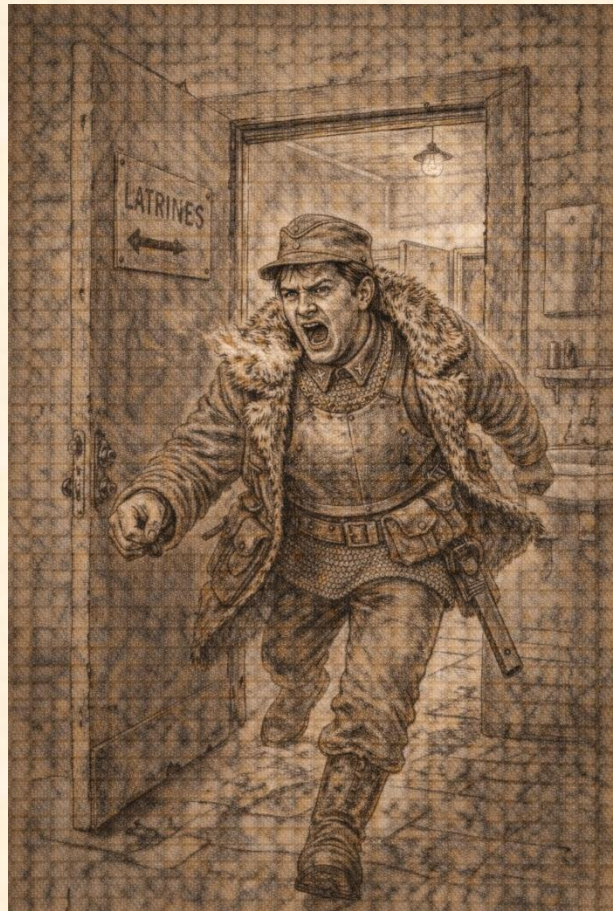
Znając standardową długość życia mężów Rolfine, to wcale nie był taki głupi pomysł.

## 6 listopada 1943

---

Cięty język potrafi zranić bardziej niż najlepszy karabin. Widocznie Luca jest masochistą, bo zakochał się w Selmie i w jej niewyparzonej gębie jednocześnie. Ona potrafi jednym zdaniem człowieka rozbroić, a drugim dobić. On wygląda przy niej jak ochotnik na egzekucję, który jeszcze dziękuje za sznur.

Trochę jej zazdrozczę tej umiejętności mówienia wszystkiego, co jej ślina na język przyniesie. Ja tak nie potrafię. Ja tylko przelewam swoje żale na papier, a potem udaję, że to wystarczająca forma odwagi.



Vogel... widuję ją ostatnio rzadko. Nie mamy rannych. Nie ma po co siedzieć w lazarecie. A najgorsze jest to, że zaczyna mi brakować tych spotkań. Tego dotykania jej... zaraz po tym, jak zdąży zdezynfekować ręce, zanim pójdzie do pracy. I patrzenia, jak trzeci raz z rzędu musi robić to od nowa, bo ja akurat czegoś dotknąłem. Złorzeczy wtedy pod nosem. I uśmiecha się przy tym.

Dzisiaj jednak sama mnie zawołała do szpitala. W środku leżała Tobiasse.



– Tylko nie mów, że zaczyna się znowu jakaś epidemia? – zapytałem, patrząc na pacjentkę. Zioła przy epidemii to raczej placebo niż leczenie.

– Oby nie – odpowiedziała Frau Blau. – Nasza koleżanka jest przy nadziei.

– Że co?!

Naprawdę mnie to zaskoczyło. Wydawało mi się, że w obecnych warunkach ludzie będą ostrożniejsi. Najwyraźniej strach przed śmiercią nie wyklucza potrzeby życia.

– Ciszej, bo zaraz Roth usłyszy i będzie larum – syknęła. – Trzeba to jakoś delikatnie przekazać.

– Ta. Albo liczyć, że nie zauważy – mruknąłem. – Może powiemy, że to opuchlizna głodowa?

Wieczorem Falk i Tobiasse wzięli szybki ślub. Tym razem Roth nie protestował, nie wyciągał regulaminu, nie groził raportami. Pewnie dlatego, że Sela i Moser stały tuż obok niego, a on nie jest aż tak głupi, by sprawdzać granice cierpliwości obu naraz.

Powodów do świętowania – albo do narzekania, zależy kto pyta – było więcej. Skończyliśmy budowę szklarni. Niby wiosna, ale góry bywają zdradliwe. Tydzień temu przysły nocne przymrozki i zniszczyły nam wszystkie uprawy. Dwa miesiące pracy Weissa przeminęły w dwie noce.

Teraz przynajmniej mamy szkło nad głową. I iluzję kontroli nad tym, co rośnie. Bo nad tym, co dzieje się z nami, kontroli nie ma nikt.

## 9 listopada 1943

---

Ostatnio było aż za spokojnie. Tak spokojnie, że człowiek zaczyna wierzyć w bajki o końcu wojny i powrocie do normalności. I pewnie bym w to uwierzył, gdyby Lumeria nie przypominała nam o swoim istnieniu w najbardziej dosłowny sposób.

Przyszli wczoraj. Przytaszczyli ze sobą armaty. Nasza wina. Rozleniwiliśmy się. Warty były już bardziej rytuałem niż realną ochroną. Moser przestała robić swoje wypadki po zapasy. Tobiasse... nie dziwię się jej, ale przestała chodzić na zwiad. I właśnie przez to nas podeszli. Schowali się za tym zasranym wzgórzem na zachodzie, które od początku było problemem, tylko nikt nie chciał się z tym zmierzyć.

Kiedy pierwszy pocisk zapalający wpadł w barak, wszyscy zerwali się na równe nogi. Na szczęście Hay nie próżnował ze swoimi podziemnymi luksusami i większość załogi spała już w osobnych łózkach. Ja nie.

Obudził mnie huk. Przez chwilę nie wiedziałem, co się dzieje. Dopiero potem zobaczyłem dziurę w dachu i ogień. Pierwsza myśl? Vogel. Muszę ją obudzić i wyciągnąć stąd.

– Myślałam, że to piękny sen. A ty naprawdę do mnie przyszedłeś – wyszeptała zaspana.

– Kobieto, nie pora na żarty – nawet ja w takich chwilach nie mam nastroju do głupot. Kolejne wybuchy tylko to potwierdziły. – Wstawaj, albo zaraz nas usmażą.

Zagrzmiała trąbka. Rolfine zaczęła alarmować innych. W ostatniej chwili. Może gdyby jej warta nie miała miejsca w sypialni z Hayem, nie musielibyśmy zakładać spodni w akompaniamencie ognia i eksplozji.

Mylene z kilkoma innymi rzuciła się do gaszenia pożarów. Ja z Vogel pobiegliliśmy do lazaretu szykować stoły i sprzęt. Reszta ruszyła do walki.

Siedzieliśmy tam razem. Czekając. Nasłuchując. Ogień artyleryjski w końcu ucichł, zastąpiony kanonadą karabinów. Vogel dosłownie wklejona we mnie. Ja z bronią pod ręką, gotowy bardziej na strach niż na strzelanie.



Po pół godzinie zapadła cisza. Najgorszy moment. Zawsze wtedy człowiek boi się najbardziej. Kto wróci zza wzgórza? W jakim stanie? Czy to będą nasi?

W końcu znów zabrzmiała trąbka. Odwołanie alarmu. Obyło się bez strat. Przytaszczyli kilku jeńców.

– Czyli z wolnego poranka nici – mruknąłem, chwytając torbę ze sprzętem. – *Frau Blau*, idziemy ich posklejać.

Nasi nie patyczkowali się. Wyciągnąłem z ludzi chyba tysiąc odłamków i pocisków. Nici do szycia zużyłem tyle, że spokojnie starczyłoby na kilka kurtek. Nie obyło się bez amputacji. Jedna dziewczyna dostała taką serię, że straciła nos, ucho, rękę i nogę. Przeżyła. Tylko co to będzie za życie?

Uratowaliśmy też jedną ciężarną. Czy utrzyma dziecko? Tego nie przewidzi nikt.

– Dlatego wojsko to nie jest miejsce na robienie dzieci – powiedziałem później, gdy z Vogel myśliśmy się po wszystkim. – Tobiasse powinna powiedzieć Rothowi i uciekać stąd do domu.

Anna nie odpowiedziała. Szorowała dłonie po raz kolejny, jakby próbowała zetrzeć coś więcej niż brud. W końcu powiedziała:

– A propos ciąży... Sela też jest.

No to jednak zaczyna się epidemia. Wspaniale. Szpital polowy imienia Matki Edelki.

Posprzątaliśmy salę. Daliśmy Luce narzędzia do odkażania. Było już południe, gdy wyszliśmy z lazaretu. Posterunek wyglądał... znośnie. Tylko cztery pociski trafiły w budynki. Reszta w piach. Trochę sprzątnięcia i nie będzie śladów.

– No to teraz mogę zapytać – zagailem, gdy szliśmy do baraku. – Co to był za sen?

Vogel zatrzymała się i uśmiechnęła.

– Jak będziesz grzeczny, to kiedyś ci opowiem. A teraz wybaczone, muszę odespać – pocałowała mnie w policzek. – Może znowu mi się przyśnisz?

Poszła. Zostawiła mnie z myślami. A ja mam ich ostatnio zdecydowanie za dużo.

Nie pospaliśmy długo. Godzina osiemnasta. Trąbka znowu. Lumeria jeszcze raz spróbowała nas wyeliminować. Zrzut spadochronowy. Wyjątkowo nieudolny. Wylądowali prosto przed naszymi karabinami. Wystrzelaliśmy ich jak kaczki. Dwie godziny i było po wszystkim.

Prawie.

Fuchs dostał w brzuch. Paskudna rana żołądka. Posklejaliśmy go, ale z jedzeniem będzie musiał uważać bardziej niż ktokolwiek tutaj.

Świtało, kiedy wyszliśmy z lazaretu. Teraz to ja muszę w końcu odespać.

## 12 listopada, 1943

---

Niestety. Ranna kobieta poroniła. Nie daliśmy rady. Piąty, może szósty miesiąc. Za późno, żeby ratować dziecko, za wcześnie, żeby organizm matki potrafił to udźwignąć bez konsekwencji. Ona sama jeszcze o tym nie wie. Do tej pory się nie wybudziła.

– Jak jej to powiemy? – spytał Luca cicho, jakby bał się, że sam dźwięk pytania może coś zniszczyć.

To jest najgorsze w tej robocie. Tego nie uczą na studiach, a tym bardziej na przyspieszonych szkoleniach dla sanitariuszy. Nie ma na to procedur, regulaminów ani podręczników. Tego trzeba nauczyć się samemu, metodą prób i błędów, kosztem cudzych łez.

– Ja jej powiem – zaproponowała Anna bez wahania. – Już tyle razy musiałam to robić, że jeden raz więcej nie zrobi mi różnicy.

Wybudziła się po południu. Ma na imię Sienna. Vogel zabrała ją z celi do lazaretu, zamknęły się razem na kilka minut. Kiedy wróciła, odprowadziła ją z powrotem, spokojnie, niemal rutynowo. Niedošla matka była nieobecna, jakby patrzyła przez nas, a nie na nas. Nie było krzyku, nie było łez, nie było załamania.

– Ona chyba się ucieszyła – powiedziała później Anna, wyraźnie zaskoczona. – Jakby... jakby tego chciała.

Niezbadane są umysły ludzkie. I chyba dobrze, bo gdybyśmy naprawdę wszystko rozumieli, dawno byśmy oszaleli.

To były ciężkie dni. Głównie fizycznie. Dwa ataki, pełno rannych jeńców, pełno pracy, żadnych przerw. W końcu ktoś musiał pęknąć. Frau Blau zaproponowała wieczorne „wino, piwo lub co tam mocnego znajdziemy w spiżarni”. Zgodziłem się bez wahania. Luca,

Bescond i Booth mieli pilnować rannych. Jakby coś się działo, mieli dać znać.

Znalazłem butelkę jakiejś nalewki. Domowa robota, pewnie któryś z Lumeryjczyków nosił ją na czarną godzinę. Czarna godzina właśnie nadeszła. Ruszyłem z nią w stronę messy, ale Anna zastąpiła mi drogę.



– Nie tutaj – rzuciła krótko. – Chodź za mną.

Poszedłem potulnie, jakby wydała rozkaz. Zaprowadziła mnie do tunelu. Wtedy zrozumiałem. Wyprowadzała się z baraku. Hay i Mylene dali jej nowe lokum.

Szczęściara. Dosłownie. Porządne łóżko, szafki, szafy. I łazienka. Własna. Nie rozpadający się wychodek, tylko prawdziwa łazienka.

– Chciałaś mnie zdenerwować? – rzuciłem półzartem. – Ja tu flaki ludzi zszywam po nocach, a to ty dostajesz prywatne apartamenty?

– Ej – obruszyła się. – To nie ja przydzielam pokoje. Po chwili dodała ciszej:  
– Nieważne. Pijemy?

Chciała coś powiedzieć, ale się zawahała. Nalałem więc po szklance. Nie było sensu bawić się w drobne dawki. Butelka skończyła się szybko. Musiałem przynieść kolejną. Rum. Mieszanie skończy się źle, ale to problem na jutro.

Kiedy wróciłem, Anna była już wyraźnie pod wpływem. Jutro będzie ciężko. Jeśli przyjdzie atak, lazaret nikomu nie pomoże. Ale co tam. Raz się żyje. Umiera też tylko raz.

Siedzieliśmy, piliśmy wolniej. Gadaliśmy o byle czym, śmialiśmy się, aż nagle wypaliła:

– No dobra. Powiedz mi. Czy ja ci się podobam?

Zatkało mnie. U normalnego człowieka w głowie walczyłyby dwa wilki. U mnie były dwa barany. Lukas sprzed wojny i Lukas po dwóch miesiącach Kanzelpass. Jeden chciał obrócić to w żart. Drugi spalił buraka i zaczął się jękać. Wygrał ten drugi.

– No... wiesz... jakby to ująć...

– Prosto. Tak albo nie.

– Chyba tak – powiedziałem w końcu.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Chyba?

– No... tak.

– To trzeba cię przekonać.

Rzuciła się na mnie bez ostrzeżenia. Nie stawiałem oporu. Byłem zbyt zmęczony, zbyt pijany i zbyt ludzki, żeby udawać obojętność.

Rano, kiedy wychodziłem z jej sypialni... a może jednak naszej... przed wejściem stał komitet powitalny. Falk, Keller i Moser. Klaskali. Falk nawet zagwizdał, jakby zobaczył dwudziestolatkę w stroju kąpielowym.

Pokazałem im, co o tym myślę. Środkowym palcem.

– Szkoda, że po maratonie operacji nie biliście mi braw – mruknąłem, mijając ich.

Muszę coś zjeść. I koniecznie się napić. Głowa pękała, a świat nie miał zamiaru na mnie czekać.



## 15 listopada 1943

---

Naszego tchórzliwego Fuchsa też dopadła najpowszechniejsza zaraza Kanzelpass – miłość. Orina zawróciła mu w głowie, a on najwyraźniej jej też. Patrząc na to, jak na siebie patrzy, mam wrażenie, że zaraz zaczną promieniować jak te nasze nowe turbiny.

Bo to właśnie jest dziś najważniejsze.

Booth, Selma i Falk zaprosili nas po śniadaniu do północnej części posterunku. Od kilku dni coś tam majstrowali, zasłaniali plandekami, wyganiaли ciekawskich. Wreszcie odsłoniли efekt: turbiny wiatrowe. Prawdziwe. Może wyglądają jak młyny przerobione przez pijanego mechanika, ale to detal. One działają. Produkują prąd.

Mamy światło. Prawdziwe. Nie ognisko, nie pochodnie, nie kopzące lampy.

Wracamy do cywilizacji.

Falk i Vogel pokazali nam też schematy prostych akumulatorów. Hay i Mylene już drążyli w skale miejsce na magazyn energii i generatory. Wszyscy wiedzieli, co się święci, wszyscy coś robili. Tylko ja i Roth żyliśmy w błogiej niewiedzy jak dwa ostatnie durnie.

Wieczorem spytałem Annę:

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? Pomógłbym. Chyba.
- Chciałam ci zrobić niespodziankę.

Niespodzianką to by była depesza, że wojna się skończyła. Albo rozkaz o moim zwolnieniu ze służby. Ale dobrze. Prąd też przyjmę. Może wreszcie uda się naprawić radio. Może ktoś sobie o nas przypomni. Chociaż zaczynam podejrzewać, że dowództwo uznało Kanzelpass za legendę, a nas za przypis w raporcie.

Jedynym, który nie podzielał entuzjazmu, był Roth. Kiedy zobaczył turbiny i dwie świecące latarnie, zbladł. Autentycznie.

– Ale jak... to? Mmmamy prąd?

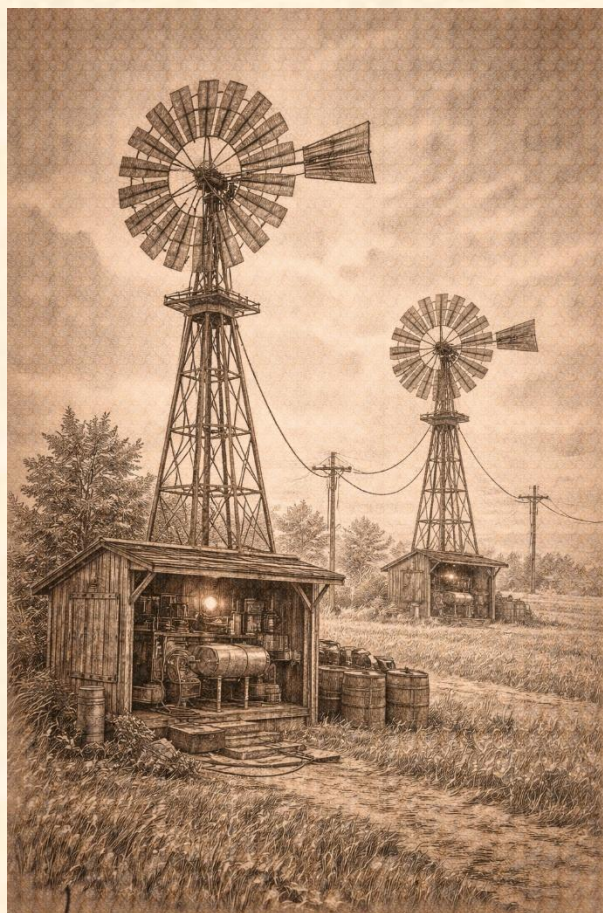
Jakbyśmy właśnie sprowadzili diabła w postaci kabla z miedzi. Myślałem, że zacznę wyliczać złamane paragrafy, ale tylko stał i patrzył. Może dotarło do niego, że świat idzie naprzód bez jego zgody.

Dołączyła do nas też Sienna. Tak, ta sama, która poroniła. Dziś przyszła do Moser i zapytała, czy może zostać. Moser wezwała mnie i Rolfine, żebyśmy ją sprawdzili. Zdrowie, stan psychiczny, czy nie kłamie.

Rozmawialiśmy długo. Vogel miała rację – utrata dziecka była jej na rękę. Nie chciała go. Gdy zaszła w ciążę, mąż ją porzucił. Miał już dzieci z pierwszego małżeństwa i „kolejny do podziału majątku” nie był mu potrzebny. Rodzina jej nie przyjęła. Rozwódka z brzuchem to hańba. Więc Sienna zaciągnęła się do armii. Liczyła na kuchnię. Może lazaret.

Lumeryjczycy uznali, że kobieta w piątym miesiącu ciąży nadaje się na front.

Nie miała dokąd wracać. Każdy wcześniej wbił jej nóż w plecy. Mam nadzieję, że u nas to się nie stanie. Roth, patrzę na ciebie.



Rano przyszła do mnie Rolfine. To mnie zaskoczyło, bo zwykle dziewczyny idą do Vogel.

– No dobra, co się dzieje? Gorączka? Arytmia? Duszności?  
– Nie – odpowiedziała sucho. – Ciocia się spóźnia.

No pięknie. Następna. I to w jej wieku. Cięża w jednostce frontowej to problem. W tym wieku to podwójny problem.

Potrójny zrobił się, gdy nad przełęczą zaczęły krążyć samoloty. Walka powietrzna nad naszymi głowami. Huk działek, wybuchy, ryczące silniki, a potem spadające wraki. Trójkę rannych wyciągnęliśmy z rozbitych maszyn. Może przeżyją. Może.

Czwarty problem przyszedł wieczorem.

Rozległ się dźwięk kołatki i gwizdka. Nie trąbki. Kołatki i gwizdka. Falk i Tobiasse ogłosili alarm. Od wschodu sunęła zielonkawo-żółta chmura.

Atak chemiczny.

– Skurwysyny chcą nas wytruć – mruknąłem, chyba głośniejszym niż zamierzałem.

Vogel wtuliła się we mnie. Nie z paniki. Raczej z determinacji.

Spokojnie *Frau Blau*. Tak łatwo się nas nie pozbędą.

